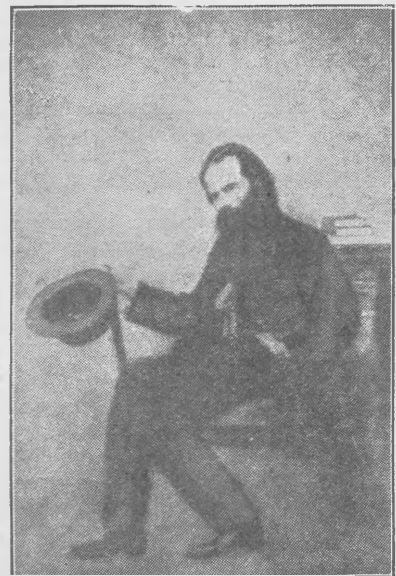


Ojciec Conrada

Apollo Nałęcz-Korzeniowski (1820 — 1869), ojciec znakomitego powieściopisarza angielskiego, był synem Teodora, oficera wojsk polskich w latach 1809 i 1831, i Julji z Dyakiewiczów. Z rodziną znanego pisarza polskiego Józefa Korzeniowskiego spokrewniony nie był. Twórczość literacka Apolla Korzeniowskiego wyczerpująco nie była badana. Z historyków literatury polskiej jeden Leonard Sowiński poświęcił jej kilka kart swego „Rysu dziejów literatury polskiej” (t. IV, Wilno 1877, str. 83 — 88). Piotr Chmielowski w „Dziejach krytyki literackiej w Polsce” (Warsza 1902, str. 559 — 565) obszernie omówił jego „Studia nad dramatyką w utworach Szekspira”, drukowane w „Bibliotece Warszawskiej” w r. 1868. Szkic Michała Rollego o „zapomnianym poecie” w tomie p. t. „In illo tempore...” (Brody 1914, str. 27 — 53) nowych materiałów nie przyniósł, zwrócił jednak uwagę na ustępy „Pamiętników” Tadeusza Bobrowskiego t. I, Lwów 1900, str. 361—365), zawierające ciekawe szczegóły do charakterystyki człowieka, oraz podał z rekopisu zapiski pamiętnikarskie towarzysza poety z wygnania w Wologdzie. Gabriel Korbut („Literatura polska”, t. III, Warszawa 1921, str. 617 — 618 i 810) dawniej znane pozycje bibliograficzne uzupełnił wskaza-

szczerą, głęboką miłością i dobrocią, że każdego choćby najzaciętszego przeciwnika jego wyobrażeń rozbrajał i zniewalał. Złośliwość sztycherza i *verba veritatis* zrobił mu wielu nieprzyjaciół”. „Lecz ci co znali go bliżej odczuli najwyższym szacunkiem; i niema może osoby, któraby poznawszy Apollona, nie powzięła ku niemu trwałej, niewzruszonej przyjaźni, gotowej prawie do poświęceń. On zaś kogo raz ocenił, kogo raz ukochał, nigdy z nim nie zerwał, nigdy mu nie naraził się, ani też do chłodniejszych stosunków powodu nie dał. Urazy wszelkie przebaczał łatwo i na zawsze, tem bardziej gdy widział żal szczerzy. Wszystko co zacne, co piękne uносиło go i wprowadzało w rodzaj *ekstazy*. Gdy mówił, wtedy łzami błyszczały oczy, a twarz jego, zwykle ponura i odznaczająca się nieregularnością rysów, przybierała w chwilach rozrzewienia albo zachwytu dziwnie jakiejś piękności i nieskazitelnego ducha wyraz. — Przyszłość pałała zawsze dla niego świetną nadzieją. Nie stracił jej wśród najsmutniejszych myśli. Ta *narodowa wiara*, owo: „*Jeszcze Polska nie zginęła*”, jest najważniejszą cechą jego utworów Str. 39: na wygnaniu „wszędzie gdzie tylko się znajdował, moskiewskie władze z wielkimi były uszanowaniem i czcią dla jego charakteru.



OJCIEC CONRADA



MATKA CONRADA

niem listów poety z lat 1862 — 1866, ogłoszonych w „Tygodniku Ilustrowanym” (1920, nr. 4 i 20), w wykazie jego prac drukowanych pominał: obrazek dramatyczny z życia Kościuszki p. t. „Batożek” (Lwów 1861), wiersz p. t. „Pierwsza karta” w „Książce zbiorowej ofiarowanej K. Wł. Wojciechowskiemu” (Warszawa 1862, str. 1), przekład „Namaszczenia niewiasty” z „Legendy wieków” Wiktora Hugo (Żytomierz 1860), przekład „Marii Delorme” Wiktora Hugo w „Bibliotece Warszawskiej” (1863, III — IV) i w oddzielnej odbite (Warszawa 1863), „Bez ratunku, urywki z dramatu nieoryginalnego” w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1866, wspomnienie „Z życia Sowińskiego” w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1861, recenzję z komedji Chęcińskiego „Porządni ludzie” w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1863, opisy Kamieńca Podolskiego, Kijowa, klasztoru w Porajowie w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1861 i 1862, artykuł o „Śpiewkach z ulic i gajów” Wiktora Hugo w „Tygodniku Ilustrowanym” z r. 1866. Szczegółowe poszukiwania w czasopiśmie z lat 1846 — 1869 przyniosłyby zapewne więcej materiału bibliograficznego. Na autorstwo Apolla Korzeniowskiego odezw patryjotycznych wskazuje Janusz Gaśiorowski w „Bibliografii druków dotyczących powstania styczniowego 1863 — 1865” (Warszawa 1923, str. 40, 47 i 48). W literaturze o powstaniu styczniowym dadzą się odnaleźć bliższe szczegóły o działalności, którą odpokutował poeta kilkuletnim wygnaniem i śmiercią ukochanej żony, Eweliny z Bobrowskich, siostry Stefana, znanego organizatora powstania, i wspomnianego wyżej Tadeusza. Przygodnie wskazać tutaj na „Historję powstania narodu polskiego 1863 i 1864 r.” Bolesława Limanowskiego (wyd. II, 1908, str. 78 i 106) oraz na „Notatki do pamiętników Władysława Daniłowiczkiego (Kraków 1908, str. 55, 63 i 64). Aby uniknąć nieporozumień, podkreślam, że materiały powyższe zebrane są dorywczo i nie mogą rodzić żadnej pretensji do wyczerpania przedmiotu. Najobszerniej opracował go dotychczas Stefan Buszczyński w „Czasie” krakowskim i w bezimiennym wydanej odbite p. t. „Mało znany poeta, stanowisko jego przed ostatnim powstaniem, wygnanie i śmierć. Ustęp z dziejów współczesnych południowej Polski” (Kraków 1870, str. 54). Z tej bardzo dziś rzadkiej broszury podajemy kilka ciekawszych ustępów.

Po przedstawieniu charakterystyki utworów poetyckich przyjaciela, mówi o nim autor jako o człowieku (str. 29 — 31): „Jaki był w pismach, taki był w czynach. Nigdy najmniejszego kłamstwa zasadom swoim nie zadał. Czystość duszy jego była w doskonałej harmonji z postępkami. Gdy mu zarzucano czasem cierność i surowość zbyteczną względem ludzi, przypominając łagodność Chrystusa i miłość bliźniego: „Chrystus bił i smagał”, odpowiadał w uniesieniu — faryzeuszów gromił, a kupców z kościoła swego wypędzał”. „Ja przeciw nikomu nie biję, — dodawał z uśmiechem, — tylko łaję... bo kocham”. — Nigdy nie zmlekał ilekroć usłyszał co godnego nagany, a dla złych był posłusznym. Chłostał ich niełitościwie słowami sztycherstwa pełnymi jawadotego i najwykrotniejszego dowcipu; lecz gdy ujrzał choćby lekki odłask serca, wówczas przemawiał poważnie, a z takim uczuciem, w sposób tak przekonujący, tonem tak słodkim, z tak

Nie nosił innego ubrania tylko polskie, a do urzędników zawsze ojczyznym przemawiał językiem. Sam nigdy o nic nie prosił”. Str. 44: po śmierci żony „troszczył się jedynie o wychowanie syna”. „Gdybym mógł — pisał w 1866 r. — własną ręką postawić Konrada na ziemi i pośród zacnych, niewielebnych więcej pragnął. To żywe ciało i budząca się duszę spoić z ciałem naszego społeczeństwa, i tam — na cmentarzu obcym leżące popioły zawieźć do rodzinnego, pośmiertnego sioła pomników, — a samemu dotknąć stopą swej ziemi, odetchnąć jej powietrzem, spojrzeć w oczy kochanych i zawołać: „Teraz Panie, poszczaj służę Twego, bom bardzo strudzony”. — Bóg pozwolił mu przed śmiercią dotknąć ojczyźni ziemi, odetchnąć jej powietrzem, i wyrwał go z tej atmosfery, o której wyraził się w jednym ze swych listów: „Wszystko, co mię tu otacza, każe mi wątpić o wszechmocności bożej, a jednak ja w nią całą ufnosć kładę i los mego malca na jej opiekę zdaję”. Z powodu złego stanu zdrowia uwolniony z wygnania, pisze w r. 1868 ze Lwowa (str. 45—46): „Nie ten ja, którego dawniej znałeś. Wiele rzeczy ugniotło mię i pochyliło. A ostatnia, która mię trapi, jest owo wyłączenie dla mnie zezwolenie, z którego korzystając, rzuciłem tych co cierpieli wierzni i wytrwałe ze mną i odłakłem od grobu mego. Mówię ci to, bo potrzebuję, aby choć jedno serce wiedziało co dzieje się w moim. Tem bardziej dręczę mię ta myśl mego przeniewierstwa, że szczerze głęboko nie jestem przekonany, abym już mógł zdać się na cokolwiek i komukolwiek. Jedyna wymówka — to wychowanie Konrada”. W jednym z następnych listów, po przytoczonej u Buszczyńskiego ujemnej charakterystyce Lwowa i wyrażeniu zamiaru wyjazdu do Krakowa, gdzie spędził ostatnie miesiące przed śmiercią, pisze Apollon (str. 48): „Głównym celem moim jest wychowanie Konrada nie na żadnego *demokratę, aristokratę, demagoga, republikanina, monarchistę*, — albo na jakiegoś sługę i lokaja jakiegokolwiek z tych partji, — a tylko na *Polaka*”.

Broszurę swoją kończy Buszczyński przytoczeniem zdania Wincentego Pola o poetach Apolla Korzeniowskiego (str. 53—54): „Jest to skutkiem wyższej łaski, a w psychologicznym świecie cudem niejako, że boleść bez granic w poezjach Korzeniowskiego nie przechodzi w negację, ale jest zawsze dodatnią natury. Jeżeli go na chwilę ogarnie wstąpienie, to w uśta pocieszyciela-aniola składa słowo nadziei, którem się sam pociesza i które jako balsam pada zwątpionym lub upadłym w duchu! Między Krasiniskim a Korzeniowskim ta jest różnica, że Krasiniski cierpił największą boleścią ducha, ale w sferze idealnej, a Korzeniowski sam wszystkich bólów na sobie doświadczył, bo był szermierzem rzeczywistości i prawdziwym reprezentantem zapasów duchowych poetycznego geniuszu narodu ze wszystkimi mekami niewoli. O nim to można powiedzieć: *quorum pars...* Śpiewak narodu i męczennik sprawy narodowej jest tu w jednej osobie, tak że poety od obywatela, obywatela od poety, człowieka od Polaka, Polaka od człowieka oddzielić niepodobna”.

Zamierzone przed śmiercią wydanie poezji Apolla Korzeniowskiego nie przyszło do skutku.

Kazimierz Czachowski.

Otwarte na mroczny zautek życia Utrilla gdzieś na wysokim Montmatrze; owiane dymem i durem tysiąca bezsensnych nocy Apollinaire'a, Salmona, Jacoba, innych kilku, tropiących po spelunkach bratni i boski cień mistrza Franciszka Villona zakończone tą nocą najsmutniejszą, kiedy zbudzona nagle salę szpitala Charité napełnił szumem italskich wierszy umierającego Modigliani, — wspomnienia Francisca Carco *) nie malują nam ostatniej cyganerii paryskiej w barwach nazbyt wesołych. Chociaż... Dzisiaj cyganerii podobno już niema, młodzi artyści zaczynają od reklamy i stosunków, do których (w dobrym wypadku) dorabiają odpowiednie dzieła — a czy są szczęśliwi? Czyta się coraz częściej w pismach i po książkach o powrocie do średniowiecza jako o jedynej drodze zbawienia — (do tego więc miało doprowadzić piętnaście lat hałaśliwego umiłowania współczesności i żelazo-betonu, o! fałszywi prorocy?) — a kto wie, czy nie będzie to powrót do... czasów przedhistorycznych? Nie żałujmy więc młodzieńczych lat p. Carco i jego towarzyszy, tem bardziej że nieco retrospektywna tych lat melancholija powstawała nieraz z epizodów dosyć ucieśnych.

Zobaczmy np., jak rozbawionem piórem zrywa p. Carco zasłonę z niektórych „formistycznych” objawień naszej epoki, nie odbierając zresztą talentu, albo i geniuszu, tym co go mieli.

Brat Maxa Jacoba przywiózł z dalekiego Dakaru podobiznę swą pedzła jakiegoś tubylca, który blyszczące guziki kolonialnego munduru swego modeła umieścił w kształcie aureoli dokoła jego głowy. Dysocjacja przedmiotów była wynaleziona, i Picasso dekretuje niebawem: „Kiedy malujesz portret, umieszczasz nogi obok na płótnie”.

Vlaminck odkrył w podmiejskim barze statuetkę murzyńską, kupił ją za kolejkę wina białego, zaniósł do niedołączanego swego podwórcza druha Deraina, postawił na środku pracowni, popatrzał i rzekł:

*) Francis Carco. De Montmartre au Quartier Latin. Paryż, Albin Michel, 1927; str. 247 i 5nł.

LAUTRÉAMONT I APOLLINAIRE

Nakładem ruchliwej firmy wydawniczej „Au Sans Pareil” w Paryżu ukazały się ostatnio dwie ciekawe książki: pierwsze wydanie kompletne „Pism wszystkich” Izadora Ducaesse-Lautréamonta (z przedmową i komentarzami Filipa Soupaulta) i „Poeta zamordowany” Guillaume'a Apollinaire'a).

Historja życia Lautréamonta jest bardzo krótka. Urodzony dn. 4 kwietnia 1846 r. w Montevideo, Lautréamont udaje się w dwanaście lat później do Paryża, gdzie powstają jego „Pieśni Maldorora”. Naprawdę jednak poszukuje nakładcy. Nareszcie udaje mu się wydać je w r. 1869 nakładem małej drukarni w Brukseli. W kilka miesięcy po ukazaniu się książki, Lautréamont umiera samotnie w jednym z małych hotelików paryskich. Przy umierającym nie było nikogo. Dokument śmierci, sporządzony przez władze, wymienia jako jedynych świadków właściciela hotelu i służącego i zawiera charakterystyczną uwagę: „Sans autres renseignements”. Wkrótce i autor i dzieło popadają w zupełne zapomnienie.

Przed kilkoma dopiero laty surrealiści francuscy wydobyli Lautréamonta na światło dzienne. „Jest — pisał w związku z tem André Gide w „Le Disque Vert” — najpiękniejszą zasługą surrealistów, że zdobyli się na odważną proklamację praw literackich Lautréamonta, który więcej może niż Rimbaud jest twórcą literatury przyszłości”. Nie mam zamiaru umniejszać ani wartości literackich Lautréamonta ani też zasług surrealistów; wydaje mi się jednak konieczne nadmienić, że André Gide w tym wypadku przesadził znaczenie wpływu „Pieśni” Lautréamonta na literaturę francuską. Gide zawsze przecież był skłonny do wpadania z jednej krańcowości w drugą. „Les extrêmes ME touchent” — powiedział kiedyś o sobie. Więc i tym razem może, dając folgę swej dewizie, przesadził, — reagując w ten sposób, zresztą bardzo szlachetnie, na zbyt uprzedzone zapomnienie dzieł Lautréamonta. „Pieśni Maldorora” nie mogły wyrzec na literaturę francuską takiego wpływu, jaki wywarł Rimbaud, już chociażby dlatego, że... nikt prawie pisał tych nie znał.

Puścizna literacka Lautréamonta składa się z „Pieśni Maldorora”, z „Przedmowy” do niewydanego i prawdopodobnie nigdy nieistniejącego tomu poezji oraz z szeregu listów. „Pieśni Maldorora” — to wspaniała zapowiedź wielkiego talentu. Lautréamont wierzył w prawo swego istnienia, wierzył w konieczność swego posłannictwa. „Koniec XIX w. zobaczył swego poe” — pisze Lautréamont, konsekwentnie zdążający „za prawami swej natury”. Istotnie jest w hymnach tych coś, co przypomina potęgę wzburzonego oceanu, pełnego sił eruptywnych, choć ślepych... Bo „Pieśni Maldorora” wykazują też sporo braków i niejasności. Surrealiści próbowali zwalić lukę te na karb rzekomej choroby umysłowej Lautréamonta i porównali go z Hölderlinem. Zapomnieli jednak, że Hölderlin dał przed swą chorobą szereg doskonałych, a pod względem myśli zupełnie jasných i krystalizowanych poematów, które wywarły wpływ nawet na geniuszów tej miary, co Goethe i Nietzsche. Wskazując więc tak skwapli-

*) Oeuvres complètes du comte du Lautréamont (Isidore Ducasse). Les chants de Maldoror — Poésies — Correspondance. Etude, commentaires et notes par Philippe Soupault. Paryż, „Sans Pareil”, 1927. str. 440 i 8nł. — Le poète assassiné. Par Guillaume Apollinaire. Nouvelle édition. Tamże; str. 8nł. i 244 i 4nł.

— Tak piękne prawie jak Venus miłowska, co? nie uważasz?

— Ba, również piękne — rzucił gładko Derain.

Idą ze swym kawałkiem drewna do Picassa, i Vlaminck znowu:

— Piękne tak niemal jak Venus z Milo, co? A nawet...

— Równie piękne — przyzwolił Derain.

FRANCIS CARCO
rysunek G. Lepape

Hiszpan zamyślił się, przeczekał i wznosząc się swobodnie ponad te dwie śmiały już dosyć opinie zawyrokował:

— C'est pluss bô!

I nie raz jeden na tarasie „Café de Flore”, nie raz jeden żartobliwoki Guillaume Apollinaire nauczał zrewoltowanych Apellesów, jak to malować trzeba czemkolwiek — nalepiając skrawki najrozmaitsze, kawałki ceraty, gazet, kołnierzyków — byle nie farbą („dzień w którym kubiści u-

wie na niejasności w tekstach Lautréamonta, surrealiści szukali podświadomie chyba tylko pewnego dla siebie „alibi”, bo i oni nie zawsze jasno zdają sobie sprawę z tego, co piszą i czego pragną... Poza tem potykamy się w dziełach Lautréamonta co krok nie o wpływ już, lecz o wyraźne reminiscencje z dzieł Szekspira, Dantego,



LAUTREAMONT

Goethego, Mickiewicza, Richardsona, Victora Hugo, Musseta, Hoffmanna. Niektóre ustępy „Pieśni Maldorora” robią wrażenie jakby autor miał zamiar epatować burzazję. Przypomina to anegdotę o Baudelaire, który podczas rozmowy z przyjaciółmi spostrzegł, że kilku grubych mieszczuchów, siedzących przy sąsiednim stoliku,

APOLLINAIRE I JEGO MUZA
obraz Henri Rousseau

uważać mu się przysłuchiwać. Baudelaire przewrzał opowiadanie, zamyślił się przez chwilę, westchnął głęboko i rzekł: „Tak, teraz opowiem wam, jak zabiłem mego ojca...” U Lautréamonta to nie ojciec, ale dziecko. Posłuchajmy: „On doit laisser pousser ses ongles pendant quinze jours. Oh! Comme il est doux d'arracher brutalement de son lit un enfant qui n'a rien encore sur la lèvre supérieure, et, avec les yeux très ouverts, de faire semblant de faire passer suave-

żyją farby będzie ich zguba”), jak to jedynie suma pracy zużytej stanowi o wartości dzieła sztuki, i dziwnie, dziwnie jeszcze, pykając prztem z fajeczki i wybuchając raz po raz potoczystym śmiechem...

A czyż tak bardzo jego było winą, że różni kandydaci do szybkiej i łatwej sławy brali igrastwa jego na serio? Cóż obchodziło go w gruncie rzeczy wszyscy ci malarze — poza Marią Laurencin — i przyszłość ich bliższa i dalsza. Jedno jest pewne: był szczerzym poe, i Carco może nie ukrywał żadnej słabości swego przyjaciela, kiedy przytacza obok jego wiersze.

Przypomnijmy tylko owo tragiczne spotkanie z André Salmonem:

Nous nous sommes rencontrés dans un caveau maudit

Au temps de notre jeunesse...

Albo tę przeszywającą serce „Piosenkę zle kochanego” (na intencję Marie Laurencin):

Un soir de demi brume à Londres...

Albo tę prostą melodię:

Mon beau navire o ma mémoire
Avons nous assez navigué
Dans une onde mauvaise à boire
Avons nous assez divagué
De la belle aube au triste soir...

Wierzmy, że dla tej rzeczywistej poezji, a nie dla kłamliwych nauk i mistyfikacji, cień jego miłyemu już dziś postaci, — Apollinaire umarł jako oficer artylerji w przededniu zawieszenia broni, jakby sam był owym „poète assassiné”, — cień jego silnie od innych nasycił i karty książki Carco i w pewnym sensie całą młodą twórczość artystyczną obu kontynentów.

Pisząc pierwszy raz o wspomnieniach Carco w nr. 155 „Wiadomości”, mówiliśmy o antenatach Wilhelma Kostrowickiego... Z polskich komensalów swoich wymienia jeszcze autor kilkakrotnie malarza Marcoussisa i składa piękny hołd Leopoldowi Zborowskiemu za niezwykle oddanie, z jakim w ciągu wielu miesięcy starał się wyrwać biedzie i chorobie ulubionego swego Modiglianego.

Jan Mieczysławski.

O POLSCE ODRODZONEJ

Paryż, w lipcu 1927.

W nr. 179 „Wiadomości Literackie” sygnalizowały pojawienie się książki Jana Topassa, jednocześnie prawie wyszła w Paryżu druga książka, również wydana jednym staraniem autora, bez pomocy żadnej z instytucji zajmujących się tu propagandą. Jest to „La Pologne restaurée”

KAZIMIERZ SMOGORZEWSKI
rysunek Olgi Boznańskiej

Kazimierza Smogorzewskiego*) korespondenta paryskiego wielu pism polskich, współpracownika „Journal des Débats”, „Europe Centrale”, „Correspondant” i t. d.

Praca ta okazała się niezbędną potrzebą, jest to bowiem podręcznik dla polityków, dziennikarzy i tych cudzoziemców, którzy jeszcze bardziej bezinteresownie kochają nasz kraj.

Wprawdzie przed rokiem wydany gebethnerowski „Almanach Polonais” starał się spełnić i poczęści spełnił zadanie informatora, ale jest on raczej encyklopedycznie traktowany i przeto nie daje obrazu całości, jaki dać może jedynie rzecz przez jednego autora pisana. Książka Smogorzewskiego daje szeroki, jasno nakreślony obraz Polski od początku wielkiej wojny aż do ostatnich miesięcy. Każdy wypadek znalazł w tym obrazie odpowiednie dla siebie miejsce, każdy człowiek jest ujęty żywo, portretowany, nie fotograficznie. Materiały są wzięte z pierwszych ręki, dokumenty chwili często widziane i przeżyte.

Zanim książka ta wyszła z druku urywki jej ukazywały się w wielu pismach francuskich. Obecnie pojawił się w prasie europejskiej szereg recenzji, świadczących jak dalece rzecz ta interesuje naszych braci po piórze. Wobec tego że obok historii politycznej traktuje ona obszernie sprawy wewnętrzne i stosunek do innych państw, każdy naród znajdzie w niej interesujące dla siebie szczegóły, a każdy odłam partyjny kwestję najbardziej go zajmującą. Widoczne to jest z recenzji. Turyńska „La Stampa” cieszy się, że stołunki włoskopolskie są dobrze oświetlone, ukraińskie „Wisti” zajmuje stosunek państwa polskiego do Ukrainy, a „La Vie Catholique” szuka wyjaśnienia naszych stosunków kościelnych.

Smogorzewski jednocy w sobie pewne cechy, które na jego pracę dobrze wpłynęły: jest on zawodowym dziennikarzem, obiektywnym historykiem i politykiem z zamiłowaniem. Wyzbyliśmy się przesądu o strupiejszości polityków, odkąd Claudel, największy dziś może poeta francuski, jest ambasadorem, a dyplomaci Morand i Giraudoux piszą powieści. Polityka, to jest przecież taka sama gra jak i każda inna i można się jej oddawać z pasją i namietnością. Co jest ciekawe, że Smogorzewski, oddając się jej z pasją i namietnością, pisze o niej — na język historii przetłumaczonej — zupełnie bezstronnie.

Ale ten obiektywny historyk obok mądrej i sprawiedliwej Klio ma jeszcze drugą muzę, dotąd zdaje się nienazwaną, muzę dziennikarstwa, naporóż kapryśną i nielogiczną, która jednak niekiedy dobrze kieruje krokami swych wybrańców. Ona to stałego mieszkańca Paryża zawiadła w wiosnę ub. r. do Warszawy i pozwoliła mu być świadkiem „buntu marszałka Piłsudskiego”.

Jest też może jakiś dobry los, który rzadzi czytelników. Np. gdy mu w dni majowe podsunie do ręki opis historycznej sceny na moście Poniatowskiego. W opisie tym, wysoce dramatycznym, wykazał Smogorzewski wielki talent pisarski.

Aurelia Wyleżyńska.

*) Casimir Smogorzewski. La Pologne restaurée. Préface de M. Auguste Goumain de l'Institut. Avec 22 portraits et 19 cartes. Paryż, Gebethner i Wolff, 1927; str. 360.

NOWOŚĆ

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

WYBÓR POEZJI

CENA ZŁ. 3.60

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA”
KRUCHA 26

Artur Predski.

DRUCIARZ BOŻY

Emil Zagadłowicz. Dom jałowcowy. Poezje. MCMXX — MCMXXVI. Warszawa, F. Hoessick, 1927; str. 338 i 6nł. — Dziwanny. Poemat. CCMXIX — MCMXXVI. Tamże, J. Morkiewicz, 1927; str. 485 i 19nł.

Człowiek jest garnkiem, a w każdym razie — gliniakiem. Czyż nie z gliny ulepił nas Bóg? Człowiek — to wszystko, a w każdym razie — to *wiara*. Na zasadzie więc równa (człowiek-garnek; człowiek-wiara; zatem... garnek-wiara), — wiara nasza jest garnkiem, jak my.

Oto, jeśli słuchano nam wiarę (kto to uczynił, poco i dlaczego, — nie o tem mowa!) — może zresztą są rzeczy, które same stają się przez się?, jakież to są sposoby (bo, jak Norwid powiada, „spóś” — przedwzyskaniem), aby odkonstruować to, co zostało zdekonstruowane?

Nad tem zagadnieniem — któż z nas się nie zastanawiał? Nie każdemu jest dany jednak ów dar boży, który najprostszymi ścieżkami prowadzi do celu drogi. Zagadłowicz jest tym szczęśliwym, ponieważ ów dar jest mu dany. Kto wie zresztą, czy tylko dany, może raczej *zapracowany* sobie uczucie? Bo zaciera się granice tam, gdzie zaczyna się nieogarnione.

Aby jednak żyć w *nieogarnionem*, a na to trzeba je *samemu* stworzyć w sobie (nie pomoże tu bowiem żadne a żadne zakłamanie), — trzeba umieć się *ograniczyć*. A mówiąc jeszcze wyraźniej, — trzeba umieć poprzestać na małym, wtedy dopiero to *małe* naprawdę stanie się *wielkie*!

To są kategorie czysto duchowej natury, nie powinny więc budzić zastrzeżeń u t. zw. „mechanistów”, czy „maszynistów” intelektualnych, dla których są „tabula rasa”. Tylko poeta zrozumie, o czem tu mowa, ale narazie niech to wystarczy!

W tem *ograniczeniu* się, zewnętrznym zresztą, żyje poeta Zagadłowicz. To jego zdobycz najwyższa, — wcale nie pięta achillesowa! Ograniczony Beskidem i tem wszystkim co zwie się „regionalne”, — wyrasta wysoko „nad poziomy” naszej współczesnej poziomuści. Brzmi to najbardziej skromnie, lecz w istocie swej jest prawie kapitałstwem!

O czemże tu, u licha, mowa? — zapytają ludzie niecierpliwi lub ci, którzy są chorobliwie „stoleczni”. Dla tych Warszawa — to Paryż, a raczej ów przyszłowiowy „ryż”, — więc wszystko musi być „ostatnim krzykiem”. Kto wie zresztą na pewno, co to takiego jest ów „krzyk ostatni”? Kto wie także, czy Zagadłowicz właśnie nie jest owym „ostatnim krzykiem”, chociażby krzykiem ostatniego *druciara* bożego, o którym niejedną z nas może przysna sobie w duchu, choć pochichu:

— „przysnę boży druciarku
— „przysnę raz jeden do mnie —
— „coś ci mom na wyzdrade,
— „potrze ci ogromnie —
— „lankur mi leg na wnątrzu
— „po kucy się wiercie
— „drutujecie bracie garnki
— „podrutuj mi serce —

I tutaj właśnie dość śmiało, powierzchownie — powierzchownie może, lecz istotnie — *istotnie* napewno, — przychodzą uwagi. Kluczem do poezji Zagadłowicza jest muzyka wewnętrzna jego słów-dźwięków, jego zdań-akordów, jego strof-fraz muzycznych, jego poematów — symboli! Taka zawsze jest poezja samotnicza i romantyczna, śpiewająca więcej sobie, niż muzom. Nawet, mówiąc konkretniej (nie wkładając się zresztą w tajemnicę twórczości poety), — dla skłonstwowata statystycznie, że poeci żyjący w ciszy, czyli przeważnie w monodialogach, lub w dialogach z przyrodą a z Bogiem, konstruują swe wiersze śpiewając, w doświadczeniu tego słowa brzmieniu! Akcenty rytmiczne, a gramatycznie irracjonalne, alogiczne, pozornie licencjałstyczne, — nastrojają dopiero i *właściwie* czytelnika na ukryty ton wewnętrzny tej poezji.

Mowa tu o dwu ostatnich książkach Emila Zagadłowicza: „Dom jałowcowy” oraz „Dziwanny”. Na wstępie trzeba podnieść zasługę wydawców, którzy wspólnymi siłami dali nam zbiorowe nieomal wydanie liryk młodego poety, jako sumę poetycką lat ośmiu (1919 — 1926). „Dziwanny” prztem imponują strona bibliofilską; w obecnych czasach tak wielki tom poezji, a jeszcze wydany tak pięknie, to, zaiste, rzecz niepowszednia.

Obie te książki, a zwłaszcza „Dziwanny”, — to „krąg interesów” światowych poety. Ale właśnie, z poza tego kręgu, także może o kształcie podobnym, objawia się krag tajemniczy, już pozarealitywisty, który jest o tyle tylko widzialny, o ile widzialne są nieuchwytnie kregi aureoli, fosforujące natchnienie. Są one raczej przezuwalne, niż widzialne, ale wszak owa *przezuwalność* jest stórkroczystwista o „mędrca szkiełka i oka”!

Wielką księgą jest poemat „Dziwanny”. Mimowoli a z trwogą bierze się tę księgę do ręki. Wprawdzie cyfry MCMXIX — MCMXXVI (osiem lat twórczości poety) są remedium na przedwczesny niepokój, ale i jeszcze nie wystarcza. Trzeba mieć jeszcze odwagę i — zmierzyć się z poetą oko w oko, — a jeśli nie oko w oko, a jeśli nie serce w serce, to przynajmniej — czytaniem w pisanie! Wtedy — coż za nagroda! Jeśli nie są pustym frazesem, jeśli jeszcze istnieje minima uczuciowej wrażliwości w człowieku, — będzie zwycięska ta poezja!

Właściwie, — na trzy części można podzielić „Dziwanny”. Część pierwsza — to liryczne porachunki poety z Wszelkimi światem (przez duże „W”). Część druga — to właśnie *uniwersalizm*, dramatyczny personae przysłego, a zwiastowanego eposu — Królestwa Bożego na Beskidach.

Część trzecia — to Ewangelia Beskidzka, pisana natchnieniem Jana, lecz nie złotym piórem Jana Ewangelisty, a raczej — świętą wodą jordanów górskich Jana Chrzciciela.

Nierówna to książka — nie dziwota! — w jednym tomie osiem lat poezji. Ale jakże to piękna linia „wstępowa”. Jest ona jak drabina Jakóbowa, prowadząca do nieba, — obyż tylko na ostatnim jej szczeblu, zamiast Nieba, nie było Niemości! Bowiem — „pod niebem samem” można przekonać się dopiero, lub zawiść — co do jego istnienia... A tymczasem, mogąc piękniejsze być szczeble, te ciche? — bo:

— „jaka śliczna kompania
„Wowro, Jezus i Maryja!” —

Chociaż:

— „powieć ka jest ta przystość z przystani
jedyna — ?
— „ja ji dojrzeć nie mogę — cy to moja
wina — —

Chociaż:

— „a ka ten Ponbóg mieszko?” —

— „jak zwykłe dużo plotek — mało
prawdy w świecie” —

A jednak:

— „pozdrawiam Cię dziewanna, głogiem
i kalina” —

I jako ten Okrutka, co to marzył sobie być lepszym od Boga — Bogiem, a potem dostąpił sakramentu łaski objawienia, aby zaś z małego wielkoludka stać się wielkim *maluczkim*, — oto takie są właśnie „Dziwanny” Zagadłowicza! Precz odrzućmy z nich plewę, bo obficie jest ziarno, a przednie! Przysła się młocka, — ba! — tęga... Tem lepiej — dla ziarna i dla nas! Precz więc z frazesem czymś i pustym dźwiękiem! — pocóż prawdziwą poezję podpierać szcudłem komentarza? — naco te „słowa poetyckie”, gdy wszystko, z wyjątkiem ich właśnie, jest najczystsza poezja? — coż za cel w fałszowaniu monety, biciu kłamiwych liczmanów, jeśli poeta ma skarby, istne złoto i srebro istotne! — można trudnić się benedyktyńską pracą, ale pocóż parać się encyklopedyczną dydaktyką? Tak po całej prawie części pierwszej „Dziwanny” chce się rzec słowami poety: „*stwórć cerebralny, lecz najprostszy styl!*”

I to życzenie się spełnia. Od „Powsińców beskidzkich” aż do ostatnich stron, — ecce poeta! To samo rzecz można o „Donu jałowcowym”, zarówno in plus jak in minus, — z podkreśleniem pysznych erotyków ludowych, właściwie piosenek, które w terminologii Kolberga noszą miano „miłosnych”, a w rzeczywistości są arcydziełami ludowej liryki polskiej. — Nie poezja bowiem intelektu (gdzie pokrewieństw formalnych — ileż np. z Anatolem Sternem!), ale *prawdziwa* poezja, która nie jest „specyfikiem”, lecz synteza, — tylko prawdziwa poezja jest terenem Zagadłowicza. Nie wolno mu z niej uciekać, chociażby ciężka nieraz była, jak okopy, beznadziejnie czasem (kto wie?), jak np. Okopy św. Trójcy! Jeśli „*dojechał w samotność*” — jak sam powiada, — to znaczy przyszła nań pora eposu. Pora!

Różne są struktury psychiczne, fizyczne, czy wręcz techniczne — poetów. Jeden krzyczy, drugi mówi szepceniem, — jeden skapy jest, drugi rozrzuca, — jeden świadomy siebie, drugi nadświadomy, czy podświadomy — w swych natchnieniach, — jeden mówi przez siebie do siebie samego, — jeden wie, co to ziarno a plewa, drugi nieba od ziemi nawet nie odróżni! Ba! — w nieskończoność mogłaby wlec się ta litanijska enumeracja różnej krwi poetów, Zagadłowicz — tu trzeba postawić znak zapytania, jeśli chce się go inwentaryzować w poezji. To zjawisko na zbył złożone, aby można je poddać segregacji gatunkowej. To indywidualność sama w sobie i — na marginesie — i nie na miarę łockia codzienności!

Wszystko zresztą, co winno być o tym poecie *powiadane*, — powinno wonne być, jak „*wiatr wiosenny*”, — tak umieć płakać, jak wierzby płaczą „*placzące*”, — tak niezmysłowe być, a nadzmysłowe, jak cykl „Zmysły” (w „Dziwanny”), tak niewspółczesne, a tak bardzo ponad czasem i przestrzenią, jak „Rezurekcja bezpańskiego pilota”, — tak teatralne, a patetyczne, jak „Balada o teatrze krakowskim”, — tak roz- „*hop - ciup - ryp*” — ane „*na odwyrke*”, jak ta tańcząca ballada „o smętarzyskach, z których wyrósł dziwanny”, — tak bardzo dadaistyczne, jak „Ballada o królu cygańskim”, — tak mistrzowsko beskidzkie i ludzkie, jak te wszystkie „beskidzkie powsińki”, — a tak wręcz ewangeliczne, jak przestrzeń na Ewangelia Beskidów! Ach, pięćset stron trzeba o tem pisać, czyli księgę tak wielką, jak „Dziwanny”.

Ale pomimo wszystko wróćmy do *garnków*, — do rzeczywistości. Chodzi bowiem o wiarę ziemską poety, — żyjemy bowiem na ziemi, a trzeba wierzyć, aby żyć święcie garnków nie lepią. Ale kto wie? — może właśnie powinni lepić garnki? Tymczasem, niech nam wystarczy drutowanie i druciark garnków słucznych. Bo może bliska jest godzina cudów, choćby to były tylko ludzkie cuda. A wtedy, jak w Szóstym Dniu Stworzenia, dunie Bóg w glinę swego Ducha!

Zagadłowicz należy do Piątego Dnia Stworzenia Świata, i do swojej epoki, która czeka — stworzenia człowieka!

Juljan Wołoszynowski.

Anatol Stern. Bieg do biegun. Warszawa, F. Hoessick, 1927, str. 106 i 2nł.

Tom poezji Anatola Sterna, nie wiem na ile słusznie uważanego za przywódcę awangardy literackiej u nas, nie jest zwykłą rekapitulacją liryczną. Przypuszczam, iż sam autor nie jest obcy definicji swych poematów, jako „poezji sprawiedliwości społecznej i uczucia religijnego”: to są programowe jego założenia wyłożone w przedmowie, nie bez emfazy nazwanej „spowiedzią”.

Ale żadna z doniosłych spraw, zaledwie dotkniętych w przedmowie, a mogących istotnie w innej interpretacji stanowić ogniska współczesności, nie jest całkowicie przemysłana, t. zn. nie jest doprowadzona do tragicznych krańców; w Sternie, artyście i ideologu, tkwi bardzo głęboko potrzeba kompromisu. Z tej chęci, z tego przymusu godzenia ognia i wody, nie można mu czynić zarzutu: bieguny dadzą się zjednoczyć na polu magnetycznym *fikcji* (o ile ta pozostaje niepokalanie czysta, czego nie można powiedzieć o skłóconej książce niniejszej), pozatem: któż nie krąży z osią swej epoki między temi dwoma krańcami, — Rzymu i Moskwy, — wokół których obraca się cała współczesna cywilizacja zachodnia. Moment niezdeterminowania, falowania może stać się właśnie sprawdzianem szczerości: tylko ci, dla których wogóle nie istnieją decyzje (czyli większość poetów w Polsce), zadowoli się łatwym sybarytyzmem: zbieraniem miodu słów i śmietanki idei. Wszelkie przerwanie gnuśności w naszych społecznie warunkach podzielać musi ożywczo. Ale istnieją tu niebezpieczeństwa polaryzacji, — *wzajemnego znoszenia się*, — którego Stern nie ustrzegł się w pełni, „I” w definicji, podanej w wstępie, jest czysto mechaniczne, nie jest to pomost, ale wykalkulowany spójnik. Królestwo niebios i królestwo pracy dałoby się zapewne spiąć lukiem olbrzymiej syntety, lecz nie w samowolny sposób, — zapomoż sztukowanych przez ornamentację analogii. Chrystus, jako „największy rewolucjonista świata” (czem był niewątpliwie dwa tysiące lat temu!), dzisiaj, o ile nie przyjął bez reszty stanowiska kościoła, nie zaakceptował *wyłączenia* rewolucji wewnętrznej, — doskonalenia się ku świętości, — jest antynomią, lub, co gorzej, nie bez inteligencji i talentu *przemalowany* dla *własnego użytku symbolem*. Zauważmy też, że proklamowana tutaj rezygnacja ze sztuki „zbyt wysokiej” na korzyść dzieła o dostępnej „normalnej temperaturze” — pomijając już, że jest to zawodne — stanowi raz jeszcze zejście do profanum vulgus, jest raz jeszcze szukaniem *nowego poklasku*. Religia aui kult zbiorowości nie da się wyhodować ani zaszczepić, choćbyśmy, zamiast uprzedniego estetyzmu, wprowadzali gwałt — jak zięćią lokomotyw, niezestroną orkiestrę pojęć i obrazów. Wtedy, co najwyżej, otrzymamy tragiczne niemal widowisko: artyści, otwartymi ustami lykającego z sensoryjną odwagą wszystkie bakcyle swej współczesności, podobnie jak kuglarz na arenie polityki języki ognia i noże. Nic dziwnego, że przy końcu gotowi jesteśmy uwierzyć w duszący gardło jego „spazm rozpaczy”. Nieinaczej jest i z poezją Sterna — ta dziwna kombinacja cerebralności i fizjologii, która stanowi miąższ jego wierszy: niemożność, desperacka prawie, wyjścia poza granice — „ja i „mój” — zamyka go w magiczny krag straszliwej zmysłowości — w bezustanne miotanie się między postrajającym irracjonalizmem a rozpiływającą się cielosnością. Gdzie jak gdzie, ale tu właśnie nie jest przypadkiem używanie i nadużywanie romantycznych metafor, gdyż na dnie tego stosunku do samego materiału poetyckiego, czyli do rzeczywistości,

romantyczna wiara autora, że jest on centrum świata, soczewką skupiającą promienie z najdalszych krańców, nierozwiązalnym punktem węzłowym, w którym przecinają się wszystkie linie, kłując serce jak siedem mieczów boleści. Dlatego to, wbrew pozorom, poezja Sterna nie zawiera *dramatu zbiorowości*, do czego rości so-



ANATOL STERN
rysunek Zdzisława Czernańskiego

bie chyba prawo: lecz jest, co najwyżej, dokumentarycznym dramatem jednostki, zagubionej w burzliwych falach przejściowej epoki.

Cóż dziwnego zatem, że same wiersze łamią się w sprzecznościach? Właśnie w ideologicznym wierszu „Mój Bóg” niema Boga, jest zrównanie go do zera, do nieistnienia, jest zastąpienie go przez społeczny, fetyszystyczny, przed sobą padający plackiem indywidualizm.

Wielkie poematy, wywodzące się z pierwszorzędnej szkoły francuskiej, są czemś na naszym gruncie nowem i dlatego stanowią bezsporną zdobycz. Następuję w nich przedwzyskaniem przebudowa metafory i kompozycji, są zamierzeniem na dużą skalę i naogół wytrzymują swą rozpiętość. Należałoby raczej kwestionować pewne charakterystyczne szczegóły. Nie to, że istotnie ich znów stanowią zwykłe umiędzynarodowienie, a wciąż wabiąca Sterna, jak syrena, *dekoriacyjność*: są to przekolorowane okna i maginacji, a równie wiele zgęszczonej barwności trudnoby byłoby znaleźć na całej przestrzeni dzisiejszej poezji polskiej.

Lecz to są raczej podrzędne triki samej techniki poetyckiej. Są tu pierwsiastki znacznie ciekawsze i donioślejsze. „Drogię wysokiego zwycięstwa” np. znamionuje dla mnie: nienasyconie wyobraźni prawie tragiczne, ono, które jest współczesnym optymizmem a l'outrance, doprowadzonym do punktu katastrofy; i — uwielbienie *napięcia* jako takiego, już nie maszynny, jak uprzednio, ale samego prądu, już nie woltomierza, ale przepływającej prężej niepowstrzymanej energii. A jest to w każdym razie znaczny postęp, gdy, zamiast łopatek do mielenia modlitw, wielbi się sam prąd, sama esencja modlitwy, owa „żądze budowania, która nas ożywia”. W „Trzech trupach w obliczu Europy” uderza mnie pewna podskórna tendencja, tendencja dzikua i antropomorfizacji samego stryczka szubienicy; raz jeszcze chęć stworzenia z wielkim rozmaciem mitu współczesności. Ale podobnie jak Stern rozumowałoby także dziecko, i poza ogólniejszą intencją artystyczną jest w tem coś jeszcze: romantyczne pra-

gnienie legendy, odzyskania raju utraconego (jak tutaj: dzieciństwa); tylko że przycywilizowany poeta w. XX, o ile świadomości degraduje się do roli nieletniego, tworzy mit par force, pseudo-mit, któremu nie dajemy w pełni wiary.

W „Dniu nieznanego żołnierza” najbardziej przekonujący jest autor tam, gdzie daje się ponieść swemu pięknemu patosowi, tam, gdzie poddaje się szlachetnemu retoryzmowi myśli, który przypomina nieco Stonimskiego, „Królowie” — to jeden z utworów zamiennych jako wytwór intelektualizmu Sterna, przesyconego tradycją literacką i licznym bio-racemą za idee, ale zarazem walczącego ze sobą i wątpliwego intelektualizmu, który jest jak rozdyt balon, tam i sam mianowany przez sprzeczne wiatry. „Europa” — to utwór wielkiego talentu; zawiera istotnie coś z rozsądzającego pędu, coś z dynamizmu dzisiejszego skłócenia. Inna sprawa, że blakają się tu strzępki wszelkich wiar, zszyte w kolorową płachtę, którą podaje się za sztandar idei: ale kogóż, prócz ludzi walki, stać na co więcej? I jest znamienne, że ta antymilitarystyczna, antydogmatyczna, antytragiczna wreszcie poezja jest w gruncie rzeczy bliższa, niżliby się wydawało, „wyzwalającemu kanibalizmowi wojny”, głoszonemu obecnie przez tylu proroków. Ale niema przecież *rozwiązania tragizmu* dla typowego poety *przejścia*, jakim jest Stern (to jego zasługa). Nie jest to bowiem człowiek, który przyjął „postawę walki” — jak poeci Rosji współczesnej i niektórzy francuscy: nie stać go, jako *artystę*, na tyle prymitywizmu, czy też całopalnego entuzjazmu — lecz ktoś, kto ze wszystkich sił opiera się *sprzeczności chaosu*; stać konstrukcja jego bywa zazwyczaj fikcją, wysiłkiem pływaka, płynącego przeciw prądowi, by cokolwiek uratować z rozbicia.

W rezultacie: Stern bezustannie goni za tem co najmniej jest mu dostępne, — za *syntezą*, — by oprzeć się wreszcie w tym zdyszczanym biegu o pewną melę *efektu*. Dana jest mu niewątpliwie zdolność rozszechciania doznań na kolorowe włókna, jest wyostrzonym pryzmatem; ale brak mu soczewki, która drgającą tęczę skupi na nowo, która przywróci jej nieprzemijającą już białosć. Dlatego u zenitu natchnienia jest Stern najdalszy swiej ideologii. Bo i gdzież jest zenit jego, nasza gwiazda polarna, wbita nieruchomo w niebo, ów archimedesowy punkt oparcia, którym dźwigniemy, jeśli już nie metafizykę wszechświata, która wyklina, jak Maorysi, drączy przed hukiem piorunów, i wyświecamy ze sztuki, nie mogąc się jej pozbyć, — to przynajmniej nasze stulecie? *Niebo* Sterna jest zawsze najazem Mahometa, gdzie można się nażreć do syta i napać miłością, — podobnie, jak Ameryka jest tylko groteskową hiper-Europa, diaboliczną jej karykatura, doprowadzona do absurdu, jest niebo to tylko ziemia w n-tej potęgę. Dla artysty, spragnionego takiego wniebowstąpienia, jest ono bezustanną dynamiczną *katastrofą*, rozpętanem zmysłowem, orgią; dlatego dla Sterna niema schronienia przed tragizmem (jak go niema wogóle dla Semitów). Niebo, religia, Chrystus — jest dla niego tylko wzmozona *dawką kokainy*, która wyczuła mu mózg na chwilę, jest duchowym treningiem. Zamiast słońca jest tutaj magnesja; a nikt przecież tak nie pragnie białej jego jednoznaczności, jak poeta, oślepieniy dzikiem rozpętanem sztucznych światł, krwawymi literami nocy, które wierzają mu oczy; nikt cichego portu Boga — jak zmysłowiec, nikt klasycyzm — jak potomek Rimbauda i Apollinaire'a, kościola — jak poganin, kultury — jak barbarzyńca.

Stefan Napierski.

POWIEŚĆ I NOVELA

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Feliks Gadomski. Tom 129 — 130. *Juliusz Zeyer. Andrzej Czerniszew. Powieść*. Tom I — II. Warszawa, 1927; str. 295 i 1nł.

Wątkiem głównym powieści jest miłość Andrzeja Czerniszewa do Katarzyny II. Powieść nie ma ram studium obyczajowego, jak utwór Aldanowa „9-y termidora”, a ujęta jest na sposób romantycznego opowiadania o miłości pięknego młodzieńca do wielkiej księżnej, później cesarzowej Rosji. Narracja, zabarwiona tonem uczuciowym, lirycznym, nie pozwala przejść się przygodami bohaterów, gdyż przecięła chociażby znajomości obyczajowości rosyjskiej tego okresu wyznacza zupełnie inne, bardziej brutalne obrazy. A powieść Zeyera jest za mało agresywna, aby mogła przekreślić te obrazy i dać zamiast nich jakąś społecznie przekonującą rzeczywistość.

Przedmowa p. B. Wydry jest z konieczności apologetyczna. Mniemam, że ciękawse od apologii byłoby oskarżenie, oczywiście w odpowiednio przeprowadzonej skali.

Edgar Rice Burroughs. Tarzan i złoty lew. Przełożyła z angielskiego Zofia Laboedzka. Okładkę rysował Edmund John. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1926; str. 236 i 4nł.

Trudno być specjalnie wdzięcznym tłumaczom Burroughsa, że przyswajają jego powieści naszej literaturze, gdyż nie są to rzeczy stojące na poziomie chociażby solidnej sensacji. Oceniacją je negatywnie, znajdujemy w nich jednak pewne ciekawe momenty, zazwyczaj nie występujące wyraźnie w powieściach sensacyjnego typu, chociaż będące sensacji nieodrodnymi cechami.

Wychowanie Tarzana wśród małp pozabawiło go wszystkich umiennych cech u-

mysłowości angielskiej, nie naruszając jego rdzennej brytyjskości, otrzymanej w spadku po rodzicach, a zwierzęca bezspornie odczuwania połączyła się z przyrodzonymi warunkami w jedno, w pełnię bohaterskiego typu człowieka. Społeczeństwo cywilizowane, zdaniem Burroughsa, zatruwa każdego, kto się dostanie w orbitę jego wpływów, — ideałem jest więc życie człowieka kulturalnego w pustyni i puszczy. Burroughs występuje tu pośrednio jako moralista i filozof, pokrewny Janowi Jakóbowi Rousseau. Jest to jak gdyby rozwinięcie londonowskiego typu, pozbawionego społecznego impulsu dla wyładowania nadmiaru siły fizycznej.

Rzecz prosta jednak, że bohater nie może być bohaterem, jeżeli nie walczy. Walka zaś, by wydobyc pełnię efektu zwycięstwa, musi być z początku przegrana. Dlatego Tarzan jak najczęściej ulega niebezpieczeństwu, nieomal ginie, — w końcu, naturalnie, bije swych wrogów na łeb i szczy, by zatrumfować w roli zwycięzcy, tulącego do siebie ukochaną małżonkę.

Co wyróżnia Burroughsa z pomiędzy innych piciarzy sensacyjnych, to dość bezceremonjalny sposób obchodzenia się z ideami biologicznymi. W jego twórczości mamy przykład najniebezpieczniejszego literackiego przetwarzania teorii Darwina. Jak dotychczas, zapas zjawisk straszliwych wyzerpał się, więc Burroughs próbował dać nową serię potworów, pochodzących od człowieka i małpy, posiadających siłę zwierzęcą a obdarzonych jednocześnie ludzką inteligencją. Pomysł jest jednak beznadziejnie słaby choćby w porównaniu z wellsofską „Wyspą doktora Moreau”, gdzie genialny eksperymentator drogą wiskieji zamienia zwierzęta na ludzi, nie pozabawiając ich cech zwierzęcości.

Potworki Burroughsa mają służyć pozatem za tło dla czynów Tarzana. Niekiedy autor stawia postacie swoich zwierząt, jak np. małpkę Manu, w manierze

Kiplinga w „Księdze džungli”. Takie sporadyczne wysoki nie mogą już zdziwić czytelnika, chcącego z góry iurare in verba magistri. Zaufanie jednak do umiejętności pisarskiej Burroughsa zawodzi w zupełności.

Przekład, naogół poprawny, grzeszy pewnemi usterekami stylistycznymi. Np. mieszkanka Atlantyd — tłumaczka nieszczęśliwie nazywa „Atlantydianinem”, podczas, gdy Antoni Lange w tłumaczeniu „Atlantyd” używa zgraneznego określenia „Atlant”. Zgola zbyteczne jest zdyktowanie Blubbera.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Feliks Gadomski. Tom 138 — 139. *Mieczysław Jarosławski. Tajemniczy chemik*. Powieść. Tom I — II. Warszawa, 1927; str. 264.

Gdyby porównać literaturę polską z przedsiębiorstwem przemysłowem, można było powiedzieć, że w rozwoju swym pokyniło ono nowe inwestycje. Chodzi o polski romans kryminalny. Ale „Tajemniczy chemik” p. Jarosławskiego jest tylko „bujda”, w najdosłowniejszym rozumieniu tego określenia.

Wydaje się od zewnątrz, że coś się dzieje. Jest sporo fragmentów akcji, ale tego czego się wymaga właśnie od romanu kryminalnego, t. zn. tempa, niespodzianek i sprostowanych w końcowym rezultacie fałszywych tropów, — niema.

Koniec powieści wyjaśnia, że cały skomplikowany aparat trujących gazów, rewolwerów, ścigających aut i t. p. i t. p. miał wysadzić w powietrze port w Gdyni. Maczali w tem palce bolszewicy i Niemcy. Jest powiedzenie rosyjskie na określenie zagalopowania się w opowiadaniu, przekolorowania; „zawrałsia”. Pan Jarosławski nie powinien był wydawać swojej powieści. Mamy dość „Hrabina-zebraczek” i „Buffalo Billów”.

hr.

„Listy ze wsi”

Władysław Orkan. Listy ze wsi. Tom II. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 188 i 4nł.

Zarówno publicystyczna jak artystyczna działalność Orkana jest treściową walką o rasę i o człowieka rasy. Sprawa dość skomplikowana nie ze stanowiska autora, który rozważa specjalne, wewnętrzne trudności, ale z punktu widzenia ogólnego i techniki kultury społecznej. W drugiej serii „Listów ze wsi” Orkan rozumuje w sposób następujący. Nie można mówić o ogólnej psychologii chłopstwa polskiego, są tylko psychologie chłopskie różnych ziem. Innych niż podhalańska Orkan nie rozważa, gdyż nie zna ich dobrze. Zato swojej, rodzimej, jest apologetą. I tu powstaje zagadnienie. Jak zachować rasę danej ziemi, nie pacząc jej, a dając jej jednocześnie możliwość rozwoju kulturalnego. Regionalista Orkan pragnie racjonalnie kulturować dodatnie pierwiastki charakterowe górala podhalańskiego, usuwając to, co jest naocześnie dla tego typu szkodliwe. Dać mu jednocześnie świadomość obywatelską, ogólnopolską, polską, a doprowadzić do stanu esencjonalności, syntetycznego wyciągu ze cech, które stanowią fizjognomję rasową górala.

Jest to pogląd w istocie swej dwousty. Budzić do życia środowisko, powoli za-ciemierające, wyhodować człowieka — cechę, a jednocześnie spać go nierozwiązalnie z siłą, względem niego niszczycielską, — ze społeczeństwem. Każdy pogląd społecznie praktyczny dąży do niwelacji w pewnym kierunku, do hodowli jednostajnego w swym charakterze typu, nastawia społeczeństwo na pewien tor, którym ma ono podążać jako grupa i jako zbiór jednostek. Niemożliwa jest koncepcja, praca ku zrealizowaniu siebie w materiale życia, bez koncepcji charakteru, który jej będzie służył lub nią walczył. Wspaniałym przykładem była działalność P. P. S. do odzyskania niepodległości. Ideologia P. P. S. i pepesowicz było to niemal jedno.

Koncepcja hodowli rasy! Pomysł na miarę Wella.

Samoochrona gospodarza Podhala, naszych kresów południowo-zachodnich, jest niemożliwa bez pomocy państwa. Tu wyrzuty zupełnie uzasadnione pod adresem czynników odpowiedzialnych skierowane przez Orkana. Ale przypuśćmy że żądania i potrzeby zaspokojono, co wówczas? Gdyby podstawa ekonomiczna została ugruntowana należycie, jakby się tego idealnego Podhalanina o cechach specjalnych, troskliwie wyhodowanego, udało zachować przed mieszaniną się z pierwotnym ogólnopolskim, nieustannie niwelującym się właśnie pod względem charakterystyczności rasowej? Miasto jest zbiornikiem, do którego wpada wieś, a z którego wypływa uprzemysłowiona ferma. Rozkład też on psychikę autochtona i tak samo uprzemysławia ją jak i gospodarkę. Regionalistyczna koncepcja hodowli rasy może być tylko formą przejściową pewnej świadomości gospodarczej i to tylko na dystans trwania tego okresu. Hodowlę można przeprowadzać jedynie na serji osobników. Narzędziem, formą, w której odlewa się człowieka, najsukuteczniejsza — jest szkoła. Stąd potrzeba szkoły specjalnej, regionalnej, a właściwie — rozszerzającej poglądy Orkana na całą Polskę — szkołę regionalnych o programach przystosowanych do każdej poszczególnej dzielnicy. Bo wychowanie dziecka danej dzielnicy w niwelującą szkołę powszechną — byłoby zaprzeczaniem dla idei regionalnej całych pokoleń.

Ale strona teoretyczna „Listów ze wsi”, acz bardzo ciekawa i apostołska, odsuwa się na drugi plan wobec ich strony artystycznej, anegdotycznej, gawędziarskiej. Język „Listów” jest najlepszym świadectwem, jakie mógł Orkan wystawić swym poglądom. Nie jest gwarą, ale ma ogromną ilość wyrażen wtęrotowych, przez Orkana po raz pierwszy w literaturze polskiej stosowanych, transplantowanych z ogromną subtelnością artystyczną i wyczuciem jęzłkowem. Piszę ten artykuł we wsi Mszana Dolna, oddlegiej od Poreby Wielkiej, gdzie mieszka Orkan, o niecałe dwie mile. Gospodarz mój zna dobrze Orkana i opowiada o nim z wielką sympatią, po sąsiedzku. Nie chciałbym porzązać o znanym pisarzu sąsiedzkich gadek (niezmierznie zresztą sympatycznych) ale świadczą one o tem, nie ideowem, lecz gospodarskim, ludzkim współżyciu i życiu się jego z okolicą. „Orkan — dobry chłop” — powiada mój gospodarz.

Tu, na Podhalu, wydają się „Listy” czemś nieomal w naturze rzeczy tkwiącem, tłumaczącym naocześnie, namacalnie, ludzi i wieś. Czy jednak miasto wieś zrozumie, jak tego pragnie Orkan, — wątpli.

Henryk Drzewiecki.

KORZYSTAJCIE Z OKAZJI!

KURSY KALKULACJI DUKARSKIEJ

ZAPOMOCĄ KORESPONDENCJI

Kurs rozpocznie się z dn. 1 października b. r. i rozłożony jest na 52 lekcje tygodniowe. Opłata kwartalna wynosi zł. 16.25. Z powodów technicznych liczbę abonentów ograniczono. Pierszeństwo mieć będą uiszczający opłatę niezwłocznie.

Informacji udziela: Roman Mathia, redaktor „Grafiki Polskiej”, Warszawa, Bednarska 9, tel. 216-54. Opłatę przesyłać należy do P.K.O. nr. 10-639.

„NIE PŁACZ, DANTE!”

Stała się rzecz niezwykła. Sprawa życia dwu ludzi zamkniętych w więzieniu amerykańskim poruszyła umysły i sumienia całego świata. Obojętność, z jaką ludzie mrużą oczy na codzienne zbrodnie i morderstwa dokonywane zarówno przez policję państw kapitalistycznych jak i przez Łotyszów z Czerewiczajki — nagle odpadła i oczy całej ziemi skoncentrowały się z nateżoną uwagą na tym drobnym punkcie, który zajmowali na świecie dwaj skazani na śmierć ludzie. Wskazówka zegarów elektrycznych zbliżała się do godziny stracenia a niepokój i wzburzenie tłumów rosły. Protestowali ci, którzy prawa do tych protestów nie mają; ci, którzy sankcjonują równie okropne zbrodnie w imię takiej lub innej doktryny politycznej, protestowali ludzie, dla których sprawa życia i śmierci Sacca i Vanzettiego była posunięciem taktycznym, za śmiercią zaś dwu więźniów wypowiadali się zwolennicy panującego ustroju, wrogowie anarchii i komunizmu, urzędnicy walczący o prestige swego klanu czy stronnictwa, — ale do tego zwykłego chóru giedy hasła i przekonań wchodziły się również głosy ludzi myślących nie o programach i prawach martwych, lecz o żywych jeszcze, czekających na śmierć skazanych.

Wielkie nowe miasta Stanów Zjednoczonych i stare stolice Europy, dziesiątkowane przez głód, choroby, wojny i rewolucje — miasta, przywykłe tak szczodrze i szeroko rozlewać krew swych mieszkańców, zatroskały się nagle o wątle ciała dwu dalekich nieznajomych ludzi. Cóż skłoniło starców, których synowie polegli pod Verdun, z tej lub tamtej strony okopów, matki kalek wojennych, liczne ofiary wszystkich okropności, które człowiek sam na swą zgubę pomnaża, — co skłoniło te tłumy do wystawiania nocami przed gmachami redakcji? Cóż je popchnęło do walki z policją, do narażania znowu swego życia — już wtedy, gdy Sacco i Vanzetti zginęli na fotelu elektrycznym w Bostonie? Prawdopodobnie, było to uczucie obawy o istnienie własne, lęk przed psującą się maszyną sprawiedliwości panującego ustroju, prawdopodobnie było to oburzenie wynikłe z jaskrawej i sensacyjnej formy morderstwa, nieróżniącego się przecież w swej treści od innych morderstw, które się przemilcza, ale było w tem jeszcze coś innego — wręcz wspaniałego: owe poczucie sprawiedliwości, zagłuszane postokroć, ale zawsze żywe, wybuchaające w najmniej spodziewanych chwilach. Człowiek jest siłą nieobliczalną! Kanala rządząca światem przelicza się w swej ufnosci, pozostał jeszcze bastion sumienia, niezdołany i niesplugawiony kłamstwem. Urzędnicy sądowi z Bos'onu mogą się uśmiechać z politowaniem czytając depeche, donoszące o strajku w Argentynie i o manifestacjach w Paryżu. Znamy aż nadto dobrze ten bezczelny uśmiech pewności i zrozumiałości faszerowanej głupoty. Tak samo uśmiechali się z politowaniem czytając depeche Wellsa, czy Curie-Skłodowskiej, domagającej się ułaskawienia skazanych. Uśmiech ten, pełen solidności, znaczy: „My wiemy dobrze, co czynimy; wybaczcie ale już te sprawy do nas należą — a wy, wielkie dzieci, idealisci i marzyciele, jesteście bardzo mili i nawet uznajemy was i nagradzamy w chwilach wolnych od spraw poważnych”. Takie cyniczne nieliczenie się z autorytetem największych umysłów świata nie jest niczym nowym. Zjawia się ono zawsze tam, gdzie na jednej szali waży się interes kliki a na drugiej rozum i sprawiedliwość. Uśmiech sędziów z Bostonu to znany już nam uśmiech „trzeźwo patrzących” polityków, którzy uważają za mrzonkę dziecianną — pokój. Mówią nam oni: „Wy, marzyciele i idealisci, wznosicie gmach cywilizacji, walczcie o siłę i rozum ludzkości, pracujcie w szpitalach i laboratoriach — a my ludzie trzeźwi będziemy tymczasem zbroić państwa. Niektóre wasze wynalazki mogą być nawet wcale pożyteczne, gdy przyjdzie dobra okazja do wymordowania paru milionów nieustalonych dziś jeszcze nieprzyjaciół”. Ale władza tego uśmiechu maleje z dniem każdym, aż przyjdzie dzień, gdy roztopi się ten uśmiech w grymas lękliwy zdemaskowanych oszustów.

Zamordowano dwu ludzi — ale ta śmierć dwu Włochów wzburzyła miliony. Wierzymy, iż oburzenie to nie przemienie — obowiązywać ono będzie nadal, stanie się zapowiedzią wielkiego gniewu narodów

Antoni Słonimski.

NOTATKI

Święto rubensowskie. Dn. 23 lipca b. r. odbyła się inauguracja czterotygodniowych uroczystości rubensowskich w Antwerpii. Otwarto wystawę literatury dotyczącej Rubensa p. n. „Jak inni widzieli Rubensa”.

Rozbicie „Habimy”. W czasie swego tournée „Habima” uległa rozbiciu. Część zespołu z dyrektorem Cemachem na czele została w New-Yorku, gdzie ma zamiar stworzyć studio hebrajskie.

„Hamlet” po turecku. W tureckim teatrze w Baku wytworiono „Hamleta” w oryginalnej przeróbce. Akcję przeniesiono z Danii do Persji, nazwiska osób występujących sturczono, jedynie Hamlet zachował swoje imię.

Obyczaje Greków. W nakładzie Paula Aretz w Dreźnie ukazało się trzypięciotomowe dzieło Hansa Lichta „Sittengeschichte Griechenlands”.

Wśród niemieckich najmłodszych. W nakładzie Elynora Heidricha w Magdeburgu zaczął wychodzić miesięcznik najmłodszych p. n. „Die Jüngste Dichtung”. Do współpracowników należy m. in. Klaus Mann.

Dzieła zbiorowe Majakowskiego. W nakładzie Wydawnictwa Państwowego ukazał się t. V dzieł wszystkich Majakowskiego, zawierający następujące pozycje: „O poezji”, „Wiersze o Ameryce”, „Publicystyka”, „Satyra”, „Moje odkrycie Ameryki”, „Jak robić wiersze”.

Dekabryści. W nakładzie „Centrach” ukazała się bibliografia dekabrystów oraz t. III materiałów do dzieł ich powstania.

Pobudki twórczości. Pisarz angielski Lewis Hind na podstawie własnej obserwacji i ankiety wśród kolegów doszedł do przekonania, że 50% ulega pokusom ambicji i chęci ucieczki od monotonii dnia powszedniego, 25% pisze z próżności, 20% — dla zarobku, a tylko 5% ma coś do powiedzenia.

Atoryzmy Józefiny Baker. Pamiętniki

Józefiny Baker rozpoczynają się od następującego zdania: „Trzeba wierzyć w Boga, to najlepsza broń”.

„Wielka Parada” a pacyfści. Krytyk niemiecki Wolf Zucker jest zdania, że „Wielka parada” nie może oddziaływać w sensie pacyfistycznym. Film ten uwydatnia tylko grozę wojny, ale nie jej ohydy. Można było pokazać w nim kilka straszliwie zniekształconych ciał ludzkich — a cała rzekoma estetyka wojny pierzchnęłaby do diabła. Na to jednak nie mogła sobie pozwolić nawet... Ameryka.

Co z Szekspira czytali studenci. Bodleian Library w Oxfordzie pozyskała najrzadsze wydanie dzieł Szekspira in-folio, które trzy wieki przeleżało nieznane w jednej z angielskich posiadłości wiejskich. Zbadanie tego egzemplarza, którym posługiwali się studenci oxfordzcy, dało następujące rezultaty: najbardziej czytany był „Romeo i Julia” (scena balkonowa jest nawet podarta), potem „Juliusz Cezar”, „Burza”, „Henryk IV” i „Makbet”.

Rocznica urodzin Bossueta. Dn. 27 września b. r. przypada trzecieście rocznica urodzin Bossueta.

Zakaz Margueritte’a. Sprzedaż ostatniego utworu Victora Margueritte „Ton corps est à toi” we francuskich księgarniach kolejowych została zakazana.

Nowa powieść Renego Schickel’a. Nowa powieść Renego Schickel’a p. t. „Der Blick in die Vogesen” naprzód ukazywać się będzie w „Kölnische Zeitung”, a potem pojawi się w nakładzie monachijskiego Kurta Wolffa.

Monografie teatrów moskiewskich. Nakładem wydawnictwa „Moskowskij Raboczij” zaczęła wychodzić biblioteczka monografii o głównych teatrach moskiewskich: na początek idą monografie o Teatrze Wielkim i Małym, o obu Teatrach Artystycznych, o teatrze Tairowa i Meyerholda, o państwowym teatrze żydowskim, o studio Wachtangowa.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRAWA AUTORSKIEGO

Pod patronatem Wiktor Hugo powstało w r. 1878 w Paryżu międzynarodowe stowarzyszenie literacko-artystyczne („Association Littéraire et Artistique Internationale”), mające na celu rozpowszechnianie we wszystkich krajach cywilizowanych idei najszerzej pojętej ochrony dzieł literackich i artystycznych. Na zjeździe w Rzymie w r. 1882 opracowano projekt międzynarodowej ochrony praw autorskich, który w cztery lata później wszedł w życie jako konwencja berneńska. Nieustanna praca nad udoskonaleniem przepisów tej konwencji i dostosowaniem ich do zmieniających potrzeb życia, jako też praca nad ulepszeniem powstałego już w r. 1895 wzoru ustawy o prawie autorskim („loi type”), dla ujednolinita zasad prawodawstwa w tej dziedzinie w poszczególnych krajach, wypełnia półwiekową niemal działalność stowarzyszenia.

Mając siedzibę w Bernie, międzynarodowe biuro unii ochrony dzieł literackich i artystycznych wydaje od 39 lat pismo miesieczne „Le Droit d’Auteur”, będące najczulszym seismografem wszelakich porządków na polu ustawodawstwa autorskiego na całym świecie i źródłem najlepszych z nich informacji. Polska nie należała dotąd do stowarzyszenia, lecz w związku z odbytym w Warszawie we wrześniu b. r. kongresem prawa autorskiego zgłosiła już swe przystąpienie, i prace organizacyjne są w toku.

Kongres warszawski zajmował się głównie trzema sprawami: polską ustawą o prawie autorskim, projektem typu ustawy („loi type”) i zmianami w konwencji berneńskiej. Wybitni prawnicy polscy w referatach swych wyjaśnili poszczególne postanowienia polskiej ustawy, a prezes stowarzyszenia p. Maillard przedstawił pracę p. t. „Prawo polskie w oczach cudzoziemca”, w której z uznaniem wyraża się o polskiej ustawie, widzi w niej od-

bicie podstawowych idei „loi type” i nazywa ją takim pomnikiem ustawodawstwa, który stanowi ważny etap w dążeniu do powszechnego ujednolinita praw autorskich. W tym samym duchu wyrażali się o prawie polskim wszyscy biorący udział w dyskusji, i uznanie to znalazło ostateczny wyraz w rezolucjach kongresu.

„Loi type”, którą z kolei omawiano na kongresie, nie jest sama przez się prawem autorskim przystosowanym do jakichś konkretnych warunków, ale ogólnym modelem, precyzującym te zasadnicze punkty, co do których prawa autorskie w poszczególnych państwach różnić się nie powinny. Największe ożywienie w debatach nad tym przedmiotem wywołała kwestja ustalenia terminu, w ciągu którego po śmierci autora jego prawa powinny służyć spadkobiercom. Konwencja berneńska, a za nią wiele państw, i Polska wśród nich, określa ten czas na lat 50 od śmierci autora. W Hiszpanii obowiązuje ochrona w ciągu lat 80, w Brazylii — 60, w Niemczech i Austrii — 30, a w Stanach Zjednoczonych ochrona trwa 28 lat od chwili pierwszego ukazania się dzieła. Projekt „loi type”, wzorujący się na konwencji berneńskiej, przewiduje 50 lat. Obecny na kongresie w charakterze przedstawiciela paryskiego towarzystwa autorów dramatycznych Roman Coolou domagał się ochrony w ciągu lat 80, aby ją zapewnić do końca życia bezpośrednim spadkobiercom autora. Kongres jednak przyjął okres lat 50, aby w państwach, posiadających czas ochrony krótszy, nie utrudniać autorom wywalczenia odpowiednich zmian.

Konwencja berneńska była już dwukrotnie nowelizowana. W roku przyszedł w Rzymie ma ulec rewizji po raz trzeci, a kongres warszawski rozpatrywał projektowane i pożądane zmiany. Podczas ostatniej rewizji w Berlinie w r. 1908 dość nieopatrznie dano państwowym, przystępującym do konwencji, prawo czynienia pewnych zastrzeżeń, t. j. przyjmowania jej przepisów nie in extenso, lecz z wyjątkami. Na 27 państw, należących do konwencji, 17, a w ich liczbie i Polska, przyjęły ją bez zastrzeżeń, 10 państw zaś skorzystało z tej klauzuli, co niekorzystnie odbiło się na unifikacji ochrony praw autorskich i dalszym rozwoju tej ochrony.

Zastrzeżenia dotyczą ochrony artykułów, drukowanych w dziennikach i czasopismach, tłumaczeń, prawa przedstawień i wykonywania dzieł dramatycznych i muzycznych, ochrony w dziedzinie sztuki stosowanej, architektury, wreszcie t. zw. „rétroactivité”, t. j. działania wstecz. Otóż zmiany proponowane obecnie zmierzają do usunięcia wszystkich zastrzeżeń. Biuro prawa autorskiego w Bernie przedstawiło projekt tych zmian, kongres dorzucił swoje uwagi, grupy narodowe i stowarzyszenia mają sprawę rozważyć jeszcze u siebie i sprostowania swe nadesłać komitetowi wykonawczemu dla sprzeciwienia ostatecznych wniosków na przyszły zjazd w Rzymie.

Poza temi głównymi sprawami, kongres wyraził jeszcze życzenie, aby za przykładem Francji i Belgii także i inne państwa zapewniły twórcom prawo dalszego udziału w podwyżce ceny ich dzieł („droit de suite”). Chodzi o to, aby twórca, którego dzieło na giełdzie artystycznej lub księgarskiej uległo wielkiej haussie, korzystał z powstałych stąd nadmiernych zysków przedsiębiorcy lub właściciela dzieła sztuki.

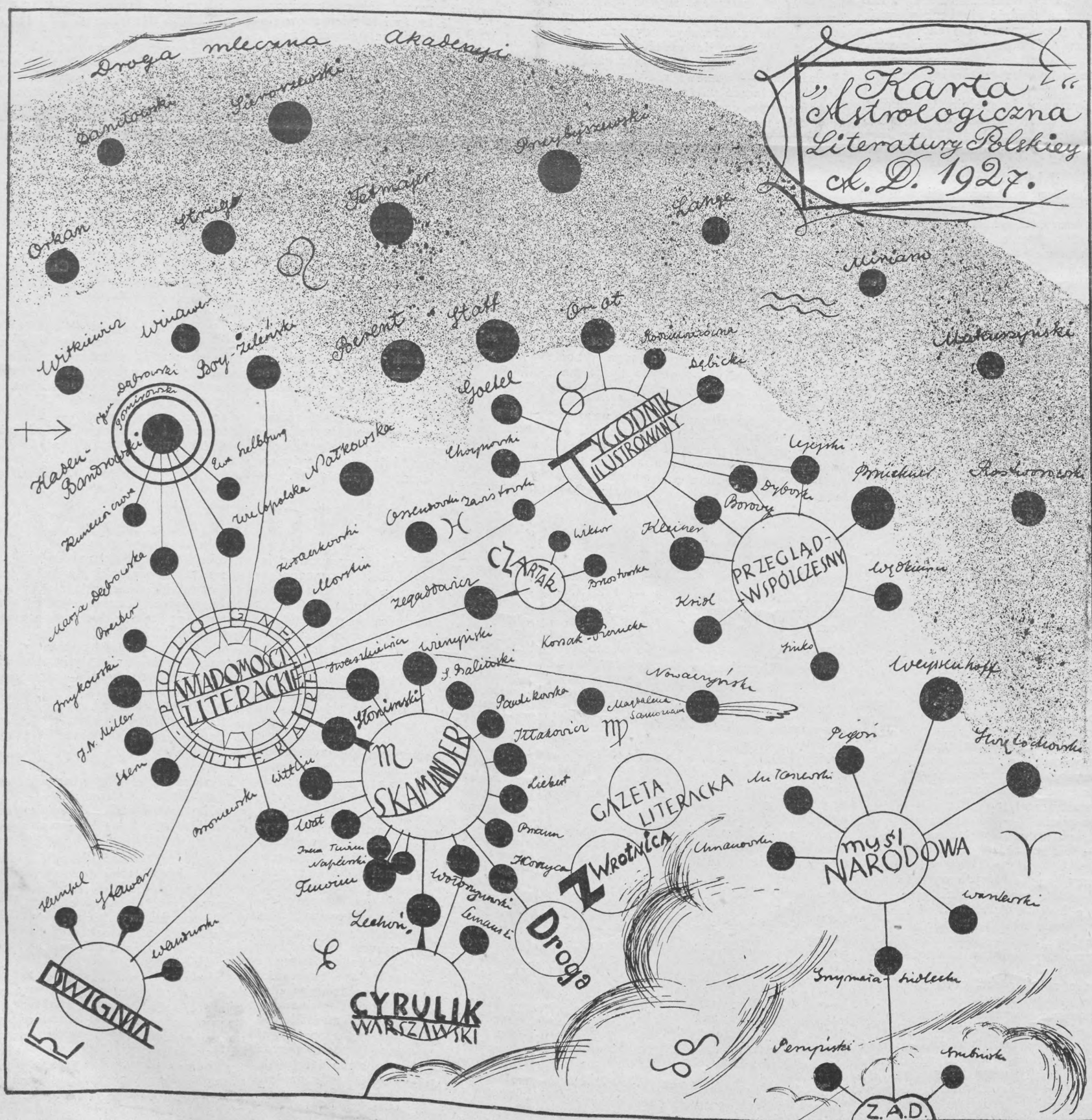
Na zasadnicze tezy referatu p. ministra Przemysłowego o skarbie narodowym literatury i sztuki kongres w zupełności się zgodził, odesłał jednak chwilowo sprawę do komitetu wykonawczego, aby przez wysunięcie nowych postulatów, dalej idących, nie utrudniać sytuacji autorom, walczącym jeszcze w niektórych państwach o kardynalną zasadę ochrony w ciągu lat 50 od śmierci twórcy.

Sprawa zapewnienia ochrony praw autorskich w Stanach Zjednoczonych była przedmiotem osobnego referatu, który w konkluzji ponawiał życzenie, aby Ameryka przystąpiła do konwencji berneńskiej, a dopóki to nie nastąpi, aby państwa, nie mające osobnej konwencji o ochronie praw autorskich, takie umowy zawarły. Kongres rezolucje te uchwalił.

Kongres warszawski udał się pod wszystkimi względami, poziom jego obrad był wysoki, a praca owocna. Prawnicy polscy słuchani byli z największym zaciekawieniem, gdy komentowali poszczególne zasady prawa polskiego (14 referatów polskich na ogólną liczbę 32), a trafne ich uwagi niejednokrotnie aprobowano w uchwałach kongresu.

Stanisław Czosnowski.

Mapa nieba literackiego



Pologne Littéraire

ukazał się nr. 10

o treści następującej:

Jan-Topass: Towiański et les grands romantiques polonais. — Junius et Władysław Zawistowski: „La tour de Babel” par Antoni Słonimski. — Wacław Husarski: Les portraits polonais de M-me Vigée-Lebrun. — Le transfert des cendres de Słowacki. — Julian Tuwim: Uebertragung von Lorenz Scherlag: Die Fäuste ballen. — Zofia Nałkowska, traduction de Felicia Wołczyńska: Un fragment de „Choucas”. — Z. K.: La Pologne littéraire et artistique à Paris.

Prenumerata „Pologne Littéraire” oddzielnie wynosi wraz z przesyłką zł. 2. — kwartalnie, egzemplarz pojedynczy groszy 80, administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9. — kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalta 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

Odbito w drukarni „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klische cynkografii „W. Głowczewski”, Chmielna 18

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5. tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRZYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRZYDZEWSKI

Największa hurtownia księgarska
w POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI